

Wojna współczesnych młotów na heretyków

25 stycznia 2015

Wojna między sunnitami i szyitami trwa od 1400 lat. Zaczęła się bezpośrednio po śmierci Mahometa. W historii najnowszej nasilenie się konfliktu religijnego w ramach islamu obserwujemy od wojny iracko-irańskiej, w latach 1980-1988, w której zginęło około miliona ludzi. Persja w XVI wieku została oczyszczona z wpływów sunnickich i od tamtej pory jest głównym centrum szyizmu. Dzisiejsze konflikty na Bliskim Wschodzie są przede wszystkim wojną religijną wewnątrz islamu.

W Europie wojny religijne są odległą historią, zaś spośród różnych nieszczęść, które spadały na Polskę, to nieszczęście, mimo wysiłków ludzi takich jak Hozjusz czy Skarga, właściwie Polskę ominęło (aczkolwiek Konfederacja Barska była głównie wojną domową i to wojną religijną). Fakt, że we współczesnym świecie toczy się wojna religijna, jest dla wielu niezrozumiały i często próbuje się interpretować krwawe starcia dorabiając do nich wyjaśnienia z zupełnie innego filmu.

Słowa prezydenta Obamy o tym, że ISIL nie przemawia w imieniu żadnej religii, mogą się wydawać retorycznym zwrotem, związanymi z emocjami na widok filmu pokazującego obcięcie głowy amerykańskiemu więźniowi. Wiele wskazuje jednak na to, że są trwałym elementem postrzegania rzeczywistości, na którą Stany Zjednoczone próbują wpływać.

Trudno pojąć jak prezydent USA łączy to przekonanie o braku motywacji religijnej z morale bojowników ISIL gotowych do samobójczej śmierci z okrzykiem Allah Akbar? Bodaj jeszcze ciekawszą anegdotę opowiedziała niedawno Ayaan Hirsi Ali, która była wychowana w rodzinie muzułmańskiej, która spędziła młodość w kilku krajach muzułmańskich, która jest dziś

ateistką pokazującą rozmiary nieustannego łamania praw człowieka przez wojujący, polityczny islam. Ayaan Hirsi Ali została zaproszona na przyjęcie z wiceprezydentem Joe Bidenem. Biden skorzystał z okazji, by zapewnić ją, że „ISIL nie ma nic wspólnego z islamem”. Kiedy znana autorka licznych prac o islamie wyraziła swój sceptycyzm wobec tej światłej tezy, ten człowiek mający spory wpływ na losy świata, powiedział z protekcjonalnym uśmiechem: „Pozwól, że powiem ci kilka rzeczy na temat islamu.” Jak opowiadała potem Ayaan Hirsi Ali, „uprzejmie wycofałam się z dalszej konwersacji, jako że nie przywykłam spierać się z wiceprezydentami”.

Mógłby ktoś podejrzewać, że ten bezmiar pewnej siebie ignorancji to cecha administracji prezydenta Obamy, któremu już podczas pierwszej kampanii prezydenckiej zarzucano całkowity brak doświadczenia w sprawach polityki międzynarodowej (a ta w ostatnich dziesięcioleciach jest dziwnie często sprzężona z kłopotami w relacjach z światem islamu). Pod pewnymi względami decyzje administracji Baraka Obamy na polu polityki zagranicznej są zamierzone jako próba naprawienia błędów jego poprzednika, Georga W. Busha juniora związanych głównie z wojną w Iraku.

Istotnie, z perspektywy czasu możemy bez obawy popełnienia błędu powiedzieć, że decyzja o wysłaniu wojsk do Iraku w 2003 roku, która w założeniu strategów amerykańskich miała być śmiertelnym ciosem w muzułmański terroryzm, okazała się popisem militarnej sprawności i szczytem braku skuteczności politycznej, gdyż w rzeczywistości spowodowała lawinowy wzrost tego terroryzmu.

Administracja prezydenta Busha poprawnie domyślała się, że Saddam Husajn może nie być demokratą, miała rzetelne informacje, że finansuje terroryzm, miała informacje, że dysponuje bronią masowej zagłady (aczkolwiek informacje na temat jej ilości, jakości i miejsc przechowywania były delikatnie mówiąc nieścisłe, co przez kolejną dekadę było głównym problemem krytyk pod adresem Busha), nie miała jednak

żadnego rozeznania w sprawach duchowości. Również, wbrew temu co czytałem w setkach gazet, podejrzewam że Amerykanie działali raczej pod wpływem traumy po 11 Września niż z chęci zysku z irackich pól naftowych, jak również, że działali w dobrej wierze, ufając iż uwolniony od tyrana naród iracki podejmie mądre decyzje przy urnach wyborczych.

Mimo, że zarówno republikańska administracja Busha, jak i obecna demokratyczna administracja prezydenta Obamy są strefami wolnymi od ateistów, a wybrani przez Amerykanów politycy są przepojeni religijną duchowością, ani w tej pierwszej, ani w tej drugiej nie było i nadal nie ma żadnych ekspertów mających elementarne pojęcie o wybuchowych właściwościach duchowości, politycy nie wydają się być również świadomi, że duchowość może być bronią masowej zagłady.

Poniżej mamy plan Bagdadu z naniesionymi na niego oznaczeniami punktów, w których po marcu 2003 roku miały miejsce eksplozje pułapek samochodowych (z samobójcami za kierownicą lub bez).

Bez trudu można dotrzeć do informacji, że lwia część tych zamachów nie była skierowana przeciw żołnierzom zachodniej koalicji, że były to głównie zamachy skierowane przeciwko cywilnej ludności, nieodmiennie inaczej chwalejącego Allaha niż zamachowiec.

Co się stało? Niedawna historia tego kraju pozwalała przewidzieć taki rozwój sytuacji. 97 procent mieszkańców Iraku stanowią muzułmanie, około 65 procent ludności, to wyznawcy szyizmu, którzy są obiektem zainteresowania Iranu i wśród których władze irańskie mogą rekrutować niemal dowolną ilość silnie motywowanych religijnie bojowników. „Świecka” władza Saddama Husajna oparta była głównie na arabskiej mniejszości sunnickiej (większość Kurdów to muzułmanie wyznania sunnickiego, tu jednak tożsamość narodowa walczy o lepsze z tożsamością religijną).

Politycy amerykańscy, po konsultacjach ze swoimi natowskimi

sojusznikami, postawili urny wyborcze, a garnizony wojsk okupacyjnych miały strzec przed terroryzmem. Podobnie jak wcześniej w Libanie, arena polityczna rozpadła się natychmiast na bloki wyznaniowe i rozpoczęła się wojna domowa, która prowadziła do błyskawicznej radykalizacji duchowieństwa i wiernych, do tworzenia uzbrojonych milicji wyznaniowych, finansowanych i zaopatrywanych w broń z zewnątrz. Wszystkie strony twierdziły, że walczą z okupantem, mordowano jednak głównie sąsiadów. Zaś werble wzywające do wojny religijnej słychać było w Teheranie, Kairze, Rijadzie, Damaszku, Bejrucie i wielu innych miejscach. Armia narodowa oraz policja, w których to organizacjach podziały religijne miały nie istnieć, okazały się świetnie wyposażonymi w amerykański sprzęt makietami instytucji porządku publicznego, których kadry oficerskie miały swoje sekciarskie lojalności i kolaborowały z sekciarskimi milicjami.

Nie tylko nam trudno sobie wyobrazić świat, w którym doskonale uzbrojona i karna milicja Radia Maryja walczy z równie dobrze wyposażoną w broń milicją Frondy, obie strony mordują Świadków Jehowy i ateistów, zamachowcy wysadzają się w powietrze w kościołach, w których proboszczami są księża tacy jak ksiądz Lemański, wierni zaczynają robić zakupy w różnych domach towarowych, dzielnice mieszkaniowe zmieniają się w strefy wyznaniowe, będące zarazem obronnymi twierdzami, jak i obiektami ataków, zaś generałowie wojska polskiego albo zajmują się handlem bronią, albo dostarczają logistycznego wsparcia stronie, z którą sympatyzują.

Mimo wcześniejszych doświadczeń libańskich, analitycy w Waszyngtonie nie ostrzegali przed wspieraniem podziałów wyznaniowych na arenie politycznej i nie zaczęli nawet szukać strategii przeciwdziałania temu, co powinno wiedzieć nawet dziecko. Liczyli na niewidzialną rękę zdrowego rozsądku, którym nie dysponował ani okupant, ani społeczeństwo, któremu dano urny wyborcze, szybko zmieniające się w urny na prochy zabitych.

To że wojna w Syrii jest wojną religijną wydaje się zupełnie nie docierać do świadomości zachodnich analityków przekonanych początkowo, że społeczeństwo syryjskie dojrzało do obalenia antydemokratycznej tyranii. W niemym zdumieniu przyglądano się, jak front przeciw władzy państwowej rozpadł się na kilka frontów organizacji walczących z wojskami Assada oraz między sobą, a walczące strony różniły się wyłącznie odmiennymi sposobami chwalenia Allaha, co oczywiście nie mogło mieć nic wspólnego z religią, ponieważ punktem wyjściowym wszystkich uczonych analiz było założenie, że religie z założenia są dobre, społeczeństwo pragnie demokracji i lepszego życia, a na czele ugrupowań politycznych stoją ludzie kierujący się zasadami racjonalizmu, walczący o interesy grup, które reprezentują.

Ciekawą ilustracją narastającej nienawiści religijnej był niedawny zamach w Arabii Saudyjskiej na wiernych modlących się w szyickim meczecie.

Jak czytamy w doniesieniu MEMRI z 10 grudnia 2014 (Specjalny Komunikat nr 5901): „3 listopada 2014 r. w szyickie święto Aszura, które jest rocznicą Bitwy pod Karbala w 690 r., w Arabii Saudyjskiej kilku zamaskowanych mężczyzn otworzyło ogień w Husseinija, szyickim ośrodku religijnym we wsi Al-Dalwa we wschodniej prowincji saudyjskiej Al-Ahsa, zabijając ośmiu szyitów i raniąc kilkunastu. Atak dokonany przez sunnitów, wywołał wśród władz saudyjskich obawy przed eskalacją napięć sunnico-szyickich w królestwie; władze szybko podjęły kroki zmierzające do złagodzenia napięcia i zapobieżenia rozruchom.”

Istotnie, reakcja władz była natychmiastowa i stanowcza, już w kilka godzin później ministerstwo spraw wewnętrznych poinformowało o aresztowaniu sprawców. Wszyscy, włącznie z królem stanowczo potępił ten zamach. Król zapowiedział, że państwo uderzy żelazną pięścią w każdego, kto spróbuje naruszyć bezpieczeństwo. Trudno się dziwić. Szyici stanowią ponad 10 procent populacji. Niedawne zamieszki w Bahrajnie

miały charakter konfliktu religijnego, w leżącym za południową granicą Arabii Saudyjskiej Jemenie toczy się wojna domowa, w której strona szyicka wyraźnie bierze górę. Perspektywa, że Iran wejdzie w posiadanie broni jądrowej budzi w Rijadzie poczucie zagrożenia równie silne jak w Izraelu. Chwilowo jednak zagrożeniem jest terror i to zarówno terror szyicki, jak i sunnicki.

Oficjalne środki masowego przekazu mówiły jednym głosem o zbrodni. W kilku niezależnych gazetach ukazały się jednak publikacje mówiące wprost, że ani potępienie przez władze, ani aresztowania, ani głosy oficjalnych środków masowego przekazu nie mogą okazać się skuteczne w obliczu zalewu nienawistnej propagandy przekazywanej w meczetach.

Bodaj najbardziej dramatyczny był tu głos saudyjskiego publicysty Faresa bin Hazema, który na stronie internetowej Al-Arabiya opublikował 6 listopada artykuł pod tytułem „Przestańcie kłamać”. Zapewnienia o harmonijnym współżyciu sunnitów i szyitów w naszym kraju są kłamstwem – pisał. „Jesteśmy obecnie świadkami i będziemy świadkami w najbliższej przyszłości kampanii oszukiwania, w kwestii jedności sunnicko-szyickiej w Arabii Saudyjskiej. Ten incydent (zamach w Al-Ahsa) odsłonił wzajemną nienawiść. Ta kampania oświadczeń i potępień nie potrwa długo i niebawem wszyscy powrócą do swoich obyczajów podsycania fanatycznych sporów. Sunnicko-szyicka nienawiść nie różni się w Arabii Saudyjskiej od tej, którą widzimy w innych krajach muzułmańskich. Ta nienawiść jest powszechna i szerzy się ponad granicami, a jej intensywność zależy od postaw rządów w poszczególnych krajach...”

Fares bin Hazem pisze dalej, że saudyjska codzienność jest przepełniona kampaniami nienawiści, że jej roznosicielami są przede wszystkim duchowni, zarówno sunniccy, jak i szyiccy. Oficjalne media nie oddają obrazu tego, co dzieje się w społeczeństwie; płynący z meczetów jad spowodował, że w ostatnich latach sunnici i szyici zaczęli się inaczej ubierać, że używają odmiennych formuł językowych, że powstają coraz

bardziej rozdzielone społeczności.

Kiedy pozwala się duchownym na wybór drogi, nie można oczekiwać, że będą kierować ludzi ku pokojowemu współżyciu, pokojowe slogany pozostaną pustymi frazesami.

Na łamach rządowego dziennika Al-Watan inny publicysta saudyjski Ali Al-Sharimi pisze, że „Żadna strategia walki z terroryzmem nie może być skuteczna jeśli nie zmierzymy się z trzecią stroną terroryzmu, która trzyma w uścisku społeczeństwo”.

Dziennikarz pisze, że nie wystarczy ukarać sprawcę, który popełnia zbrodnię, jeśli pozostawia się swobodę tym, którzy do niej podlegają. „Nigdy nie przestawałem ostrzegać przed wzrostem siły ekstremistycznych grup związanych z zarazą religijnego sekciarstwa, grup które podlegają do mordowania ludzi tylko dlatego, że należą do innej sekty. Pisałem o tym wiele lat temu, pytając, czy ludzie z fanatycznymi poglądami mają prawo do podlegania mas do uczestnictwa w aktach przemocy. Czy wolno im wciągać nas w mroki i barbarzyństwo średniowiecza? Wielokrotnie również żądałem, aby Ministerstwo Edukacji, i jego różne nadzorujące instytucje, przejrzęły religijne programy i oczyściły je z wszystkiego, co jest sprzeczne z prawami człowieka, a do czego nasza religia zachęca... Żądałem również uciszenia ekstremistycznych duchownych, którzy wzywają do zdławienia odmian islamu, które są inne, niż to co oni sami wyznają.”

Autor ze szczególną mocą obwinia duchownych wykładających na uniwersytetach, wykorzystują oni do siania nienawiści takie instrumenty jak Twitter. Nie jest to margines, ale masowe zjawisko, a podlegający do wojny domowej nie ukrywają swoich nazwisk i otwarcie nawołują do wojny domowej.

W zapisanym na wideo kazaniu jordańskiego duchownego słyszymy to, co powtarza się w tysiącach innych, podobnych kazań; filarem nienawiści międzywyznaniowej jest nienawiść do Żydów.

Nienawidzący się i mordujący się wzajemnie muzułmanie oskarżają się o grzech najcięższy – o współpracę z Żydami.

To podżeganie do religijnej nienawiści może czasem przyjmować formułę politycznych analiz interesów i zagrożeń narodowych. Ciekawym przykładem był tu opublikowany 7 grudnia 2014, w saudyjskiej gazecie rządowej „Al-Riyadh” artykuł Jousufa Al-Kuwailita, o tworzonej kosztem Arabów tajnej współpracy USA z Iranem. Zdaniem saudyjskiego publicysty Ameryka dała Iranowi swobodę działania w Syrii i w Libanie, zaś rozmowy o programie nuklearnym są farsą, co nie pozwala na uznawanie USA za godnego zaufania sojusznika. Artykuł saudyjskiego analityka załatuje paranoją i rasizmem. Oskarża już Cyrusa Wielkiego (590-529 p.n.e.) o spisek przeciw Arabom i zapoczątkowanie nazizmu. Píše, że rasowa wyższość Irańczyków (Persów) nad Arabami jest ich obsesją. Daje do zrozumienia, że szyizm jest wyłącznie perską propagandą religijną i że nie ma szans na koegzystencję między Arabami i irańskimi „aryjczykami”, ponieważ uniemożliwia to głęboko, historycznie zakorzeniona mentalność Irańczyków.

Na muzułmańskim bliskim Wschodzie mało jest analiz, które obywają się bez nabudowanych teorii spiskowych. Oczywiście Irańczycy działają w zмовie z Amerykanami. Autor pisze: „W celu lepszego zrozumienia rozwoju wydarzeń musimy zdać sobie sprawę z tego, że USA i ich sojusznicy dawno temu ustanowili plan podzielenia regionów arabskich i że umowa Sykes-Picot była tylko pierwszym wynikiem tego planu. Musimy także zrozumieć, że przekazanie Iraku Iranowi i zaanektowanie przez Iran Syrii, a później Libanu oraz ciche porozumienie z USA, że Iran będzie miał swobodne ręce w tych krajach – wszystko to jest tylko wstępem do bardziej niebezpiecznej działalności.”

Saudyjski autor nie pisze otwarcie o swojej sympatii dla ISIL, ale jako dowód współdziałania Stanów Zjednoczonych z Iranem przeciw Arabom przedstawia sprawę ataków lotnictwa irańskiego na pozycje ISIL na terenie Iraku (ataków, które potwierdzają

Amerykanie, a którym zaprzeczają władze irańskie – A.K.).

Histerią steruje strach lub przekonanie o słabości przeciwnika. Wojnę iracko-irańską rozpoczął w 1980 roku Saddam Husajn, a Amerykanie (Carter) wówczas go poparli. Krwawa, ośmioletnia wojna była początkiem obecnej fali konfliktu szyicko-sunnickiego. Irak tę wojnę przegrał, a Iran zdobył najpierw nowe przyczółki w Syrii i w Libanie i znakomicie wykorzystał amerykańską naiwność po pokonaniu wojsk Saddama Husajna w marcu 2003 roku. Obecnie kolejną zdobyczą jest Jemen. Po przejęciu Sany przez Houthi we wrześniu 2014 r., w Iranie odezwały się głosy, że Houthi nie powinni opuszczać miasta, jak to zobowiązali się zrobić w umowie podpisanej z kierownictwem sunnickim, ponieważ to porozumienie było podstępem saudyjskim, mającym na celu powstrzymanie szyickiej rewolucji islamskiej w Jemenie.

W Iranie wieszczono rychły upadek rządów sunnickich, a przede wszystkim Arabii Saudyjskiej.

Przedstawiciel Chameneiego Ali Saeedi, powiedział w wywiadzie dla witryny internetowej Tasnim 10 września 2014 r.: „Niestety, Arabia Saudyjska używa swojego majątku, by zniszczyć świat islamski i masakrować niewinnych – kiedy powinna być ośrodkiem rozwoju myśli, mądrości i polityki potrzebnej do zarządzania światem islamskim, by stanowił bezpieczną przystań dla ludów muzułmańskich. Zamiast tego Arabia Saudyjska stała się ośrodkiem spisków i tworzenia rozłamów w świecie islamskim.”

Ta retoryka mogłaby wskazywać, że Obama ma rację, nie religia, a zwyczajne imperialne interesy ubrane w religijną retorykę. W pewnym sensie tak było zawsze, jednak dla odpalenia bomby, która zabije ciebie i kilka lub kilkadziesiąt osób wierzących inaczej, trzeba głębokiej wiary w wyższość prawa bożego nad prawem ludzkim. O tej wyższości mówił w niedzielnej homilii kielecki biskup. „Dzisiaj w życiu publicznym toczy się batalia o sumienie, a ludzie, którzy nie wstydzą się Chrystusa, płacą

za to wysoką cenę – twierdził bp Henryk Tomasik podczas mszy w Mstowie. Jego zdaniem wierzący nie może mieć wątpliwości, co jest ważniejsze – prawo Boże czy prawo ludzkie.”

Co jest, a co nie jest prawem bożym mówią wiernym kapłani wzywając do nieposłuszeństwa prawom stanowionym i do mordów inaczej wierzących. Gdzie religia jest polityką, jest popyt na kaznodziejów będących młotami na heretyków. Ci duchowni będącymi młotami na heretyków budzą fanatyczną wiarę najlepiej, a twierdzenie, że fanatyczna wiara nie ma nic wspólnego z religią, okazuje się polityką najgorszą.

W Pakistanie niedawno zginęło 132 uczniów i 9 pracowników szkoły gdyż talibowie zaatakowali szkołę. Napastnicy byli zamachowcami-samobójcami. Ponownie usłyszymy, że nie ma to nic wspólnego z religią, a wierni ponownie usłyszą powtarzane w różnych językach słowa o wyższości prawa bożego nad prawem ludzkim. Nieludzkie słowa bożych sług.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Źródło: [Listy z naszego sadu](#)